



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 gr. 20.

POGA WĘDKA.

Coraz puściej na miejskim bruku; pora ogórka-wa skwaśła do reszty życie towarzyskie; pozamykały się gościnne salony, rozprysnęły się kółka i kółeczka; kto obok pasportu w pugilaresie poczuł gotówkę, chwycił swój mantelzaczek i dalej w nogi, zanim się rozpocznie kanikuła w Warszawie.

U naszych wód i w zakładach kąpielowych podobno zaroilo się w roku bieżącym silniej, niż kiedykolwiek; byłby to objaw pocieszający, choć i zawodny, bo nie świadczy koniecznie o nabraniu rozumu a pozbyciu się uprzedzeń do wszystkiego, co swojskie, lecz o gorszym stanie interesów i lichym zawsze kursie naszej monety zagranicą.

Jest to cnotą z konieczności: poprzestawać na swoim wtedy, gdy z cudzego nie łatwo korzystać można.

Ostatnim akkordem w uwerturze letniego sezonu u nas był zjazd obywateli wiejskich, zwabionych na bruk Warszawy rozmaitemi pokuszeniami; najwięcej interesu wzbudziła, jak co rok, wystawa inwentarza i jarmark wełniany. Wystawa okazała się bardzo dobrym i praktycznym pomysłem Zarządu Towarzystwa Wyścigów Konnych, bo od kilku lat ożywiła ruch przemysłowo-handlowy i dała pożądaną sposobność wymiany zdań, regulowania interesów, osobistego zetknięcia się i zawiązywania pożytecznych stosunków w sferze naszego ziemiaństwa.

Co do wartości samej ekspozycji na Placu Ujazdowskim, to niejednokrotnie wyrażono już stwierdzone zdanie, że w szeregach kolejnych corocznych wystaw, trudno uwidocznić i zauważyć zmiany i postęp w rozwoju i chowie żywego inwentarza.

Na oko prawie niema różnicy; wystawa przeto bardziej handlowo-przemysłowy ma charakter i zastępuje z nierównaną korzyścią jarmarki, których nieszczęśliwa tradycja oby jaknajrychlej wyginęła u nas zupełnie.

Ze sprawozdań rzeczoznawców okazało się, iż w tym roku niczem szczególniejszem nie mogli się pochwalić nasi hodowcy; o wiele więcej interesu wzbudzać mógł dział pozakonkursowy, w którym mechanika rolnicza, elektrotechnika, studia i projekta gospodarskich ulepszeń i podniesienia krajowego dobrobytu, były wcale pokąźnie reprezentowane.

Nie wdając się w szczegóły, na któreby czasu, miejsca i specjalności więcej poświęcić trzeba, zanotować winniśmy, choćby słowem uznania, starania i trudy redakcyi *Inżynierii i budownictwa*, około zebrania nader obfitego materiału dat, wskazówek, projektów, z zakresu naszego gospodarstwa i mienia nieużytkowanego. Praca to prawdziwie obywatelska, dokonana tylko z poczucia obowiązków względem kraju, w zamiarze przysłużenia się interessowanemu ogółowi, bez jakichkolwiek osobistych widoków, a nawet bez wszelkiej pretensyi do uznania. Tego, czem się gdzieindziej całe instytucje, wspierane moralnie i materialnie, zajmują, u nas dokonało kółko specjalistów i ludzi dobrej woli, pragnących tylko, aby ich praca stała się plennym posiewem na społecznych zagonach.

Pośród planów, map i schematów statystycznych, zwracało powszechną uwagę dzieło kobiecej ręki i wytrwałości, „Mapa pogładowa Królestwa Polskiego“ ułożona i wyrysowana przez p. Jadwigę Wójcicką. Znakomity to środek do nauczania się samymi oczyma tylko geografii i etnografii kraju swego; autorka uwydatniła obrazowo rozmaite właściwości danej okolicy, naturę gruntu, bogactwa naturalne i roślinne, zakłady przemysłowe, charakterystyczne ubiory mieszkańców

i tympodobne szczegóły, a wszystko to zebrała z niemalym zachodem i znajomością przedmiotu.

Redakcyja *Inżynierii i budownictwa* zamierza mapę p. Wójcickiej wydać sposobem chromolitograficznym w drodze prenumeraty.

Dla troskliwych o wykształcenie swych dzieci matek wiadomość ta powinna być pożądaną, znajdują bowiem w tym wybornym przewodniku do nauki geografii środek ułatwiający ich dzieciom nabranie pojęć i wiadomości o ojczystym kraju, co stanowi przecież pierwszy obowiązek każdego dobrego obywatela.

Ostatnie dwa tygodnie odznaczały się przeważnie cechą wystawową; oprócz wystawy inwentarza na Placu Ujazdowskim, która po raz pierwszy podobno, dzięki stałej pogodzie, zepsutej tylko najniepotrzebniej pod sam koniec ulewnym deszczem—zamkniętą została bez deficytu, mieliśmy jeszcze wystawę majolik, pierwszej w tym rodzaju fabryki krajowej w Nieborowie, i wystawę artystyczno-filantropijną, urządzoną z początkowania znanego portrecisty p. Leopolda Horowitza, na korzyść wdowy i chorej córki po s. p. Moniuszce.

Około sześćdziesięciu naszych malarzy pośpieszyło na wezwanie wnioskodawcy ze swemi ofiarami, większej lub mniejszej wartości; ale z tej jałmużny talentów, w szlachetnym celu zebranej, nie wiele dotąd dało się osiągnąć zysku.

Artyści zrobili co do nich należało: przysłali szkice, akwarelle, obrazki wcale nie „na odczepnego“ robione,—ale publiczność i mecenasi sztuki skrewili, bo podczas największego w tym czasie ruchu sala wystawy świeciła pustkami, a na urządzoną zeszłego Czwartku licytacji zdołano zebrać niecałych 600 rs.

Połowę tej summy zawdzięczać trzeba było i tak dowcipnemu pomysłowi p. Horowitza, który zamiast obrazu, zawiesił na stalugach tylko ramy z ogłoszeniem, że kto ofiaruje za nie największą summę, ten otrzyma w nich portret swój, wymalowany przez artystę, najcelniejszego nie-

zaprzeczenie z naszych portrecistów współczesnych.

Reszta niezakupionych obrazów zostanie sprzedaną na drodze prywatnej w czasie przychylniejszego usposobienia.

Powiadano, iż pomimo zjazdu obywatelskiego, obrót pieniężny nie owiele się podniósł w Warszawie, bo ziemianom naszym mieszkali się pokurczyły i pozyskały, zatem nadzieje pokładane w gościach naszych zawiodły. Każdy oszczędzał, jak mógł, i ograniczał się tylko do koniecznych wydatków, choć byli i tacy, którzy na placu wystawy licytowali psa do wysokości 1.200 rs., ale tych na licytacji szkiców i obrazów nie szukać...

Najnowszą nowiną zeszłego tygodnia było otwarcie w Warszawie ogrodu zoologicznego na gruncie „Bagateli“ przy rogatkach Mokotowskich; pobudzone przez grono energicznych ludzi znanego prawnika i mecenasa J. M. Kamińskiego, utworzyło spółkę akcyjną, która nie tracąc czasu na próżne narady, odrazu zabrała się do dzieła i utworzyła, jak na początek, wcale okazały zwierzyńiec, dostępny dla publiczności. Oprócz ważniejszych okazów naszej krajowej fauny, wprowadzono już słonia, wielbłąda, antylopy, kilkanaście małp, kolekcją ptaków ze sfer podzwrotnikowych i pomieszczono w odpowiednich klatkach, a w miarę powiększania się funduszu zakładowego przybywać będą coraz nowe zwierzęta, zwiększając atrakcyjność ogrodu zoologicznego.

Trzeba przyznać, że założyciele uwinęli się szybko i energicznie, zaryzykowały znaczny kapitał, a od poparcia ogółu zależeć będzie powodzenie przedsiębiorstwa, które ma na celu, nie tylko dostarczenie miastu poważnej rozrywki na wzór miast zagranicznych, ale dla młodego pokolenia przedstawia pożyteczną metodę poglądową przy nauce zoologii.

Niejedną matką, nauczycielką lub wychowawczynią, używając przechadzki milej w towarzystwie swego dziecka lub pupila, znajdzie zarazem sposobność nauczania go nauce o wyglądzie i naturze zwierząt, które po większej części nawet wielu starszym znane są tylko z opisu, albo obrazków.

Powoli zarząd ogrodu zoologicznego postara się i o aquarium z rybami, i o ptaszarnię większą; po dziesięciu latach zaś, spółka zamierza zwierzyńiec swój odprzedać miastu, albo prywatnemu przedsiębiorcy na drodze licytacji.

Kto pilnie przypatrywał się Warszawie w ostatnich latach, ten z pocieszeniem zauważyć musiał, że pomimo niezbyt przychylnych warunków finansowych i innych, miasto podnosi się, rozwija cywilizuje i nabiera fizjonomii pierwszorzędnego miasta zagranicznych.

Nazewnątrz coraz pokątniej wyglądamy, pozwalając sobie nawet na zbytki niekiedy, jak telefony i oświetlenie elektryczne, zyskujące powoli coraz większe zastosowanie; gdyby tylko i wewnątrz równie korzystne dały się zaprowadzić zmiany i ulepszenia!...

Do nowych ozdób miasta przybyć ma nowy gmach Rozmaitości, nad którego budowę odbywają się od pewnego czasu stałe narady w Dyrekcji Teatrów Warszawskich; kwestya nowego i wygodniejszego pomieszczenia dramatu i komedii nasuwała się już oddawna, ale że z próżnego i Salomon nie należy, więc nie było nawet o czym mówić.

Oile się warunki dzisiaj poprawiły, nie wiemy; ale widocznie Dyrekcya naszego teatru musi mieć pewne plany i nadzieje, skoro zamierza wkrótce ogłosić konkurs budowniczy na przygotowanie projektu przyszłego gmachu, któryby pomieścił 1.000 widzów i odpowiadał wszelkim wymogom bezpieczeństwa i wygody.

Budynek miałby stanąć na Zielonym Placu.

Jakim cudem rzecz się ta da uskutecznić, to już należy do tajemnic Dyrekcji, która nie lubi zwierzać się przed czasem ze swymi pomysłami i postanowieniami.

Przyszły budowniczy „Rozmaitości“ powinienby przedewszystkiem zwrócić całą swą uwagę na zabezpieczenie gmachu od pożaru, aby uchylić możliwą klęskę, jaką w roku zeszłym teatr nasz przeszedł, a jakiejby znowu był uległ w zeszłym tygodniu, gdyby nie śpieszny i energiczny ratu-

nek. Oto, jakby dla przypomnienia smutnej rocznicy pierwszego pożaru, który w perzynę obrócił Teatr Rozmaitości, wszczął się pożar w garderobach kobiecych Teatru Wielkiego;—w garderobach, zwyczajnie niedostępnych dla osób obcych, zamkniętych szczelnymi, obwarowanymi kratami i żelaznymi drzwiami.

Nie ulega wątpliwości, iż podobnie jak w roku zeszłym, ręka podpalacza zapuściła ogień w niewiadomym celu, czy dla ukrycia nadużyć, czy przez złość, albo zemstę; spłonęło do szczętu, lub uszkodziło się mnóstwo kobiecych kostymów, które same w sobie dzisiaj wielkiej wartości nie przedstawiały, ale ubytek ich pociągnie za sobą znaczne koszty nowe, a to w dzisiejszych stosunkach pieniężnych naszego teatru, stanowi ciężkie zadanie.

Przesądni mogliby dojrzeć istną rękę fatalności, która od pewnego czasu ciąży nad sceną warszawską i wszelkim zabiegom przywrócenia jej materialnej i finansowej równowagi systematycznie przeszkadza.

Ale, że wszelkie złe skończyć się i wyczerpać musi, a wytrwałość zwycięża,—zatem miejmy nadzieję, iż i w tej puszczy Pandory, rozbitej nad głową warszawskiej Melpomeny, wyczerpią się mniejsze i większe klęski i rozpogodzi się nareszcie na jej horyzoncie.

Współcześnie z projektem ogłoszenia konkursu budowniczego—przygotowuje się drugi konkurs, do którego wszelako dyrekcya teatru, zajęta innymi sprawami, obecnie się nie miesza. Oto miłośnicy sztuki i sceny zamierzają zebrać fundusz wynoszący sporą sumę rs. 1.500 i ogłosić nowy konkurs dramatyczny; pierwszą nagrodę stanowiąc ma rs. 1.000; drugą rs. 500.

Są to najwyższe honoraria, jakimi u nas zachęcano autorów scenicznych do oryginalnej twórczości, a że w gronie sędziów zasiadać mają tylko sami krytycy, z wyłączeniem komedjopisarzów, spodziewać się należy, iż tym razem więcej piór wprawnych i doświadczonych weźmie się do pracy współzawodniczej i pożytek będzie większy, niż na ostatnim konkursie, z którego scena i sztuka niewiele mogły skorzystać.

Smutną dolę przechodzą w tym roku teatryki ogródkowe, których trójka rywalizuje z sobą, nie zbyt szczęśliwie; ani repertuaru zajmującego, ani sił odpowiednich do komedji i operetki nie zaważyliśmy na żadnej z tych scenek, chylących się do zupełnego upadku, pomimo rozpaczliwych wysiłków utrzymania ich i przywrócenia do dawnej wziętości.

Przemienęły chyba niepowrotnie piękne dnie Alhambry, Eldorada, i Belle-vue — i prawdę powiedziawszy, niema tak bardzo czego żałować.

Panowie dyrektorowie trup prowincjonalnych, nauczani smutnym doświadczeniem, powinni by w własnym interesie omijać przez jaki rok albo dwa Warszawę i zapauzować, a potem możeby się znowu szczęście odwróciło i ogródki Melpomeny, wyplenione z chwastów i zielska — weszłyby nanowo w modę.

* * *

Okropna wieść wplata nam najniespodzianej nowy temat do pogawędki dzisiejszej; oto telegramy z Galicji głoszą o niepamiętnych wylęgach Wisły, Sanu i innych rzek, które przerwały tamy i rozniosły szeroko i daleko niepamiętne spustoszenia; też same Hiobowe wieści zaniepokoiły i Królestwo Polskie. Od lat czterdziestu nie było takiego przyboru wody, rozpędzonej z szaloną siłą i porywającej z brzegów ludzki dobytek, mienie i życie.

Wisła pod Warszawą podniosła się do 20 stóp z górą; ze wszech stron nadchodzą rozpaczliwe wołania o pomoc i ratunek. Nie obeszło się też bez znaczniejszej katastrofy; oto pod Dęblinem (Iwangrodem) fale zniszczyły wał kolejowy i obaliły przeszła nowo stawionego mostu żelaznego kolei iwangrodzko-dąbrowskiej.

Straty przeszło rs. 500.000 wynoszą.

W spienionych nurtach rzeki potonęły nadzieje biednych chłopków i gospodarzy. To woda zrabowała im z łąk zbiory siana, na które tyle liczy-

li, zamuliła i zatopila pola, wydarła ostatni kęs chleba.

Klęska przyszła niespodzianie, rzuciła się jak zmora z zasadzki...

Całej wielkości nieszczęścia nie podobna w chwili—gdy to piszemy—określić dokładnie.

Powódź świętojańska w Galicji stała się sprawczynią nędzy całych okolic — mówią tam o zwołaniu sejmu, który musi zarządzić bezzwłocznie skutkom nieszczęścia.

U nas ofiarność publiczna znowu na ciężką wystawiona będzie próba... głodnych, pozbawionych dachu i przytułku—nakarmić i przytulić potrzeba.

Do wszystkich nieszczęść podkopujących nasz byt ekonomiczny przybyła nowa klęska, której następstwa nieprzewidziane. Gdyby tylko na samych stratach i szkodach materialnych się skończyło... ale może przyjsć i głód, inędza, i cholera, przeciw czemu zaklęć niema w ludzkiej mocy.

Niechże na góry i lasy od zbiedzonych i poniszczonych siedzib ludzkich daleko — polecą te straszne widma, które na falach powodzi grozą nam jeszcze.

Nad rozlanymi wodami szeroko niechaj się unosi duch miłosierdzia, współczucia i miłości bliźniego, niosąc pociechę i pomoc nieszczęśliwym.

Daj Boże, abyśmy się w przewidywaniach zlego omylili!...

KOLONIE LETNIE.

Jak ten krzaczek rosnący bez słońca,
Który ruszyć się nie chce od ziemi,
Tak był mały — z krzywymi nóżkami,
Z cieniutkiemi nóżkami krzywemi.

I rączka takie cienkie były,
Za to wielką — ogromną miał głowę;
Ale oczka — dwa śliczne bławatki,
I jak jedwab' miękkie włoski płowe.

Matka jego była szwaczką biedną,
Gdzieś na Ślizkiej ulicy mieszkała:
Tam w podwórku izdebeczkę miała,
Wązką, niską izdebeczkę jedną.

Ta chłopczyzna był to skarb jedyny,
Jaki został się wdowie niebodze;
Mąż jej leżał w mogile stepowej,
Gdzie po ciężkiej położył się drodze.

Chciał już spocząć, lecz smutno mu było,
Na sen śmierci przymykać powieki,
Bo zostawiał sierotę maleńką,
I westchnienie posłał w kraj daleki.

Czasem wiatrom Bóg daje rozkazy,
I westchnienie takie świat przelata:
Raz Staś w nocy przebudził się nagle,
I zawołał płacząc: — Tata! Tata!

Teraz matka o ojcu nieznanym,
Syneczki czasem opowiada:
Jak był dobry, rozumny i tkiwy,
Opowiada dziecku matka blada.

Chłopczyk słucha — w jej lżą złane lice
Pilnie patrzą niebieskie oczęta:
I już słowo po słowie pamięta,
I w serduszkach nosi tajemnicę.

Kiedy matka pójdzie na robotę,
On sam jeden w izdebce zostanie,
To w marzenia ubiera tęsknotę,
I sny roi o ojca kurchanie.

On tam pójdzie, gdy urosnie duży,
Polem, lasem, pójdzie wprost przed siebie,
Widzi wszystko — wielki świat szeroki,
I gwiazd roje, świecące na niebie.

Gwiazdy nieraz widzi przez okienko,
Ale nie zna lasu ani pola:
Nie wie co jest zaorana rola,
I skowronek lejący z piosenką?

Lecz gdy czasem wyjdzie na podwórze,
Myśli o nich, siadłszy koło muru,
I swe wielkie, niebieskie źrenice,
Tęsknie wznosi za skrawkiem lazuru.

Ale potem duża głowa boli,
Ogniem palą suche, białe rączki,
Dreszcz tak wstrząsa, jakby już był w stepie;
Powiadają, że dostał gorączki.

Matka płacze i ziółka mu warzy,
Lecz raz przyszedł doktor — mąż uczony,
Coś mignęło na łagodnej twarzy,
Jakby litość, jakby żal stłumiony....

Ku sierocie, jak ojciec się schylił,
Delikatnie pogłaskał po głowie:
— Niech-no przyjdzie jasne, ciepłe lato,
A powrócą mu siły i zdrowie.

Tylko właśnie tam wysłać go trzeba,
Gdzie przecucia rwała się tęsknota:
Gdzie przestronno pod sklepieniem nieba,
Gdzie go skąpie słońca jasność złota.

Poszedł, ale zostawił nadzieję....
Matce z oczu radości łza płynie,
Już się modli za te dobrodzieje,
Którzy wrócą życie jej dziecinie.

Blaskiem szczęścia cała rozjaśniona,
Przy łóżeczku synka swego siada,
Opowiada o koloniach letnich,
O dobroci ludzkiej opowiada.

I chłopczyka coś dźwiga z pościeli,
Znowu marzy, lecz teraz wesoło:
Będzie widział różnych ptaszków siła,
Pola, lasy będzie widział wkoło.

Czasem rano, kiedy się przebudzi,
Blask różowy kraszi liczko blade:
— Mamol! — woła — czy wiesz, co ja śniłem...
Że na letnie kolonie już jadę....

Lecz sen zawiódł, jak nieraz zawodzi:
Ktoś zapomniał pośpieszyć się z darem,
Ktoś coś słyszał, przeczytał coś o tem,
Ale nazwał — modą i ciężarem!....

— Na rok przyszły pojedzie chłopczyzna...
Ciesząc matkę, mówiły sąsiadki;
Coraz któraś pogłaszcze po główce,
I przynosi z targu polne kwiatki.

I pod murem wilgotnym sierota
Znów przystaje, by spojrzeć do góry,
Ach! jak lekko szybują jaskółki,
Przez błękity jak płyną gdzieś chmury!...

Głowa boli, pierś ciężko oddycha,
Coraz bardziej wykrzywia cós nóżki;
Matka kładzie w łóżeczko biedaka,
I układa wysoko poduszki.

On się do niej łagodnie uśmiecha,
I spoczywa jak gołąb' cichutki;
Jakaś słodka doń zesłała pociecha,
Odstąpiły tęsknoty i smutki.

Ale matkę nieszczęsną przeraża
Modrych źrenic blask dziwnie promienny;
Jego przecież nic teraz nie boli,
Tylko jakoś rozmarzył się senny.

— Mnie — powiada — tak się zda, że dzisiaj
Na kolonie ktoś wezmie mnie letnie,
Lecz aniołki tam będą, nie ptaszki,
I przed Bogiem grające gdzieś fletnie.

Matka dziecko do piersi przyciska,
I łyż z oczu tryskają kobiecie:
Gdy noc mleczną z gwiazd drogę usłała,
Bóg na letnią kolonią wziął dziecię...
M. I.

KWESTYA KOBIECA W EUROPIE.

(Dokończenie).

Stanton w swoim *résumé* nie zaznaczył tego przełomu, jaki w *kwestyi kobiecej* sprawiła *kwestya pracy kobiecej*. Tamtę aż dotąd przedstawiała głównie, można powiedzieć wyłącznie, kobiety usposobień awanturniczych i niespokojnego ducha: te natury burzliwe, niechające przystać na spokojny byt regularnego w społeczeństwie istnienia, jakie i między mężczyznami tworzą kipiącą pianę ludzkości. Chwytały się też wszystkich utopii, najskrajniejsze pojęcia trafiały do ich przekonań, a że — jak być musiało — kobiety nędzne, kobiety upadłe czepiały się ich z kolei i chciały kryć się pod ich płaszczem, rzecz deskredytowała się tem więcej wobec opinii publicznej, wobec kobiet uczciwych. Odsuwały się one dumnie, odsuwały się zarazem lekliwie, aby cień czarny, który padał od tamtych, nie zaciemnił ich postaci, i ztąd robiło się pomieszanie rzeczy niedobre, bo pewne aspiracje szlachetniejsze i wiele słusznych, sprawiedliwych żądań kobiety, tłumilo się w milczeniu — musiały się one kryć, albo wyrabiać sobie drogę bardzo ciężko, bardzo mozolnie. Życie każdej wyższej, wznioślejszych pragnień i dążeń, kobiety z owych czasów dowodzi tego: wszystkie były samouczkami i to samouczkami pokątnymi, wszystkie dochodziły do źródeł wiedzy — do światła, do nauki tylko wysiłkiem woli już ogromnym, lecz też tylko najsilniejsze, najenergiczniejsze, albo najcierpliwsze, najwytrwalsze dosięgały celu; taka na przykład Zofia Germain jest dla Francji tego przykładem. Wtedy właśnie, kiedy z awanturnicami na czele motłoch niewieści szalał po ulicach, ona uczyła się matematyki marznąc, owi nięta w koldrę, a przyszedł czas, że uczyła się w cudowny już prawie sposób, odrabiając figury geometryczne w pamięci, gdyż zabierano jej świece. Prawa polityczne, do których darł się szalenie jeden odłam kobiet, stawały przeciw moralnym, ludzkim prawom całej powszechności kobiecej — prawom, które w postępie czasu, w rozwoju społeczeństw nowożytnych i po usunięciu z nich organizacji patryarchalnej, musiały wejść do kodexu narodów cywilizowanych, jeżeli nie miała się dziać krzywda i niesprawiedliwość tysiącom istot ludzkich. Koło rodzinne, ognisko domowe i klasztor — to były jedyne uprawnione miejsca istnienia dla kobiety. Jedno tylko zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia i w razie wyższego talentu i wyjątkowej siły w jego dobieciu się do życia, sztuka, literatura dawały jakieś ujście podnioślejszym naturom kobiecym. Potem przybyło

nauczycielstwo w bardzo ograniczonym zakresie, a przecież były całe szeregi tych kobiet, które u nas mają swoją sylwetkę moralną i charakterystyczną nazwę daną im przez Kraszewskiego. *Całe życie biedna* — całe życie nienależąca do nikogo a samodzielnie żyć nie umiejająca, kobieta pozostawiona samotną; stara panna, wdowa uboga, żona złego męża, żona męża nieszczęśliwego, chorego lub niedołężnego biedaka: oto tłumy kobiet, którym wśród nowego ustroju społecznego i obyczajowego, wśród utrudnianych bardziej stosunków ekonomicznych, życie przedstawiało się niegościnnie, strasznie — świat był jakoby lasem, wśród którego błądziły, dróg swych niepewne i zaleknione, niewiedzące, gdzie jest błąd i bezprawie, a gdzie krok konieczny na drodze tego postępu życia, który jest życiem samem, bo jego ruchem. Dla nich to, z uwzględnienia ich potrzeb, ze słuszności ich podnoszących się głosów skargi, z uczucia sprawiedliwości, wreszcie z rozumu społecznego, poczęła się wytwarzać kwestya pracy kobiecej, różniąca się od poprzedniej *kwestyi kobiecej* o całą podstawę zasady moralnej.

Myśliciele musieli też wziąć ją w rachunek; filozof moralny z jednej strony, ekonomista z drugiej, musieli się zastanowić nad nią i punkt ciężkości w myśli ogółu o kobiecie przechylił się głównie w tym kierunku. W tej epoce, można powiedzieć, ery nowej dla kobiecego istnienia w towarzystwie, występuje w literaturze szereg pisarzy, których uwagę przedmiot ten zajmuje. Stanton, jako traktujący tę chwilę umysłowego ruchu we Francji, wymienia bardzo starannie zestawiony cały ich zastęp francuzki, ale nie umie uwydatnić ich znaczenia przez to, że nie widzi różnicy między jednym a drugim kierunkiem — co przecież jest rzeczą niezmiernie ważną w moralnej historii kobiety.

Zwrót to nowy, nowa droga — inny zgoła trakt dla życia kobiecego. Zaprzęta on mnóstwo umysłów: Michelet, Juliusz Simon, Emil Girardin, Eugeniusz Pelletan, najpierw konstatują nowe objawy, krytykują je, rozważają na szali namiętności poważnego; z kolei przychodzi Leroy Beaulieu, Emil Deschanel, Julia Daubié, którzy dopowiadają słowo dalsze, wykazując przez niezbite argumenta cyfr niezbite prawdy.

Michelet w książkach swoich: „La femme“, „L'amour“, ukazuje się przerażony tym nowym jeszcze rzędem warunków ekonomicznych. — Kobieta jest istotą delikatną, ona daje światu miłość i poezją uczucia, to jej posłannictwo, — i mężczyzna powinien za to wziąć ją na porękę swoją — woła ten poeta, który nie rachuje się z rzeczywistością i patrzy tylko w ideał, w to, jak być powinno. Juliusz Simon, szlachetny, ale praktyczniejszy myśliciel nie wykrzykuje jak on: „Robotniczy wyraz przekleństwa! nigdy dotąd niesłyszany, wyraz żelaznego wieku“ ale jak Dante schodzi w głąb nowożytnego piekła i pisze dzieło: „L'Ouvrière“, w którym znajdujemy taki ustęp: „Jeżeli jest na świecie kwestya, w której należy widzieć jasno i nie zbywać się słowami — to ta. Jest to kwestya życia lub śmierci“.

Miał słuszność — kwestya to ważności najwyższej, bo kwestya pracy kobiecej, to kwestya urobienia się tak, lub inaczej życia z jego podstawami rodzinnymi i społecznymi, z jego znizowanym, lub podwyższonym ideałem moralnym. Co to jest praca kobiety na zarobek? — Czy nie wydarcie jej ognisku rodzinnemu? A jakie będą tego następstwa? Juliusz Simon osobiście zwiędził wszystkie główne miejsca przemysłowego ruchu Francji: był w Lyonie, w Lille, w Rouen, w Saint-Quentin, w Rheims — wszędzie, gdzie kobieta pracuje w liczbie większej, i wszędzie widział staranie o dobrobyt robotnicy. Sale są wielkie, przewiewne, z dobrą wentylacją, maszyny co rok prawie to lepsze, doskonalsze, zapłata w porównaniu z dawniejszym zarobkiem kobiety, wyższa znacznie. I co więcej, fabryka wznosi zaraz obok szkołę dla dziecka robotnicy, a dalej to dziecko znajduje też pracę, odpowiednio do przeciętnej siły jego umierzonej, zarabia już też i według swej możliwości już się do dobrobytu rodziny przykłada. Zdaje się to zatem komuś, co sądzi zdaleka, dobrym względnie losem, nawet losem szczęśliwym; ale Juliusz Simon,

z fabryki przechodzi do ognisk domowych i woła: — Biada! bo spostrzega tu najwyższą nędzę moralną, a nawet materyalną, — nędzę, o jakiej można mieć wyobrażenie wtedy dopiero, gdy się ją pozna naocznie, dotykalnie. Kobieta jest tak zmęczona, tak wyczerpana przez pracę pozadomową, że nie może już być ani matką tkliwą, ani żoną czułą, ani gospodynią dobrą, — jej energia, jej inteligencja zużywa się i zwraca w kierunku innym, i ta zarobkowa praca kobiety jest dla niej zabójstwem moralnym, jest zabójstwem moralnym dla męża i dziecka, bo kobieta z jej wpływami miłości i uczucia nie istnieje teraz wśród rodziny i mężczyzna dzieczie niejako — psuje się tak, jak psuje się i dziczeje dziecko, które też nie ma matki. Psuje się również ona, ta żona i matka, przez sfalszowanie naturalnego kierunku, podstawy jej życia, i obyczaje są straszne, moralność przerażająca: nie ma tu ani religii, ani żadnego ideału ludzkości, chyba w wyjątkach.

Trudno tu całe dzieła rozbierać, wykazywać przez liczby, że nawet pod finansowym względem rodzina, której matka stała się pracownicą po za domem nie jest szczęśliwą. — jest nieszczęśliwszą nawet, niż była kiedykolwiek, bo to, co dawniej praca kobieca dobrze i oszczędnie rodzinie przysparzała mogła, obecnie kupowane od tych, co na tem zarobek mieć muszą, przy stokroć lichszym utrzymaniu zabiera wszystkie zyski pracy wspólnej męża, żony i dzieci — zabiera je po połowie z pijaństwem i nieszczęsnymi nałogami, które zawsze i wszędzie kroczą tuż, za rozbiciem rodziny, powstającym z pracy kobiecej poza domem, z pracy kobiecej, odjętej rodzinnemu ognisku i wychowaniu dzieci, obowiązkom małżonki.

Juliusz Simon dowodzi wszystkiego czarno na białym: cyframi, statystyką. Wielka szkoda, że Stanton poprzestał na prostej wzmiance o tem dziele, nie zaznaczając jego wysokiej ważności, choćby kilku wierszami, jakie poświęcił książce Pelletana, a to dlatego zapewne, że tam chodzi o głosowanie kobiety, o jej prawa polityczne.

Dzieło Leroy Beaulieu: „Le travail des femmes au dix-neuvième siècle“, które jest późniejszym o lat kilka, zgadza się z Juliuszem Simon we wszystkich obserwacjach, we wszystkich tych obserwacjach wynikach ostatnich, że kobieca praca za domem jest nędzą moralną i materyalną, jest rozkładem rodziny. Może cienie nie wychodzą tu tak czarno, jak u Juliusza Simon, bo innym jest styl, mniej gorące, mniej żywe, chłodniejsze traktowanie rzeczy, ale ostatecznie schodzi tu wszystko do jednego mianownika: nie może pozostać z pracą kobiecą tak, jak jest teraz, dziś, jeżeli nie ma to być początkiem jakiegoś straszego końca. Że jednak praca kobieca jest taką potrzebą tysięcy tysięcy, jak chleb dla ust głodnych, jak dach nad głową ludzką, należy jej zatem dać organizacją inną, inne warunki oparcia. Wskazać jej dom, jako miejsce stałe, z którego warsztat pracy kobiecej nigdy wyniesionym być nie powinien, — to konkluzja ostatnia obu myślicieli.

Jako zasada moralna rozciąga się to z konieczności do wszelkiej pozadomowej pracy kobiecej, która we wpływach swoich działa ujemnie przez to szczególnie, że działalność kobiecą w kierunku niewłaściwym pochłania, że ją odbiera rodzinie. Nie samo zepsucie obyczajów kobiety przy pracy fabrycznej i nienajważniej tak źle usposabia dla niej obu pisarzy francuzkich — nie!... Brak kobiety w rodzinie, przeistoczenie kobiety w inną, niż dotąd była istotą moralną — to zarzut u obydwojch najwyższej postawiony.

Więc tylko kobieta zupełnie samotna może być pracownicą taką? Poniekąd tak to wypada i u Juliusza Simon i Leroy-Beaulieu; ale jeżeli ta praca tak odbiera kobiecie zdolność do życia i działania w rodzinie, czy więc ta, która młoda, od lat dziewczęcych takiej pracy się oddaje, nie wykoleja się również z drogi swej naturalnej, nie wyradza się z typu kobiety w rodzinie?

Stanton omija wszystkie szkopy moralnych zagadnień, złączonych z pracą kobiecą, bo i traktujących o niej pisarzy prawie że wymienia tylko, a następnie pożyczają u nich jedynie cyfr do wykazu statystycznego: ile i w jaki sposób kobieta we

Francji zarobić może. Główną uwagę swoją poświęca politycznym i społecznym prawom Francuzki, kodex Napoleona nazywa kamieniem młyńskim uwiązany uszy Narodu Francuzkiego, któremu „odjął swobodę czynu, godność jego obywateli i uznanie ich jako takich.“ Położenie kobiety pracownicy wzrusza go przecież w ten sam prawie smutny sposób, co owych dwóch przytoczonych pisarzy, co pisarkę kobietę, która do dziejów pracy niewieściej w naszych czasach dodała kartę swoją, Julię Daubié. „La Femme pauvre au dix-neuvième siècle“ to samo mniej więcej wykazuje, przedstawiając dowodnie, że praca kobiety dzisiejszej jest dla niej nędzą i nieszczęściem, że oprócz mało znaczących wyjątków, daje ona ogółowi pracownic życie zatrute moralnie i materyalnie. Stanton pisze też w konkluzji swego *resumé*: „Nie wyznając tej wiary, jakoby świat się wyradzał, nie sądząc, że za ideałem ludzkości należy się oglądać poza siebie, utrzymuję jednak, że stan kobiet pracujących, zwłaszcza w klassach uboższych, był w czasach poprzedzających przewrót przemysłowy, spowodowany przez powszechne użycie maszyny parowej, pod wielu względami normalniejszym niżeli teraz. Wielkie fabryki, zajmujące setki robotników, były wtedy rzadkością, ale za to bardzo wiele prac na zamówienie przemysłowców dokonywało się po domach: przedzenie, wyrób koronek, hafty, robienie tiulu, tkanie muslinów, płócien, perkali, rozwijanie, motanie, tkanie jedwabi, sortowanie, gręplowanie i dalsze roboty około wełny — były zajęciem kobiet na ręcznych maszynach poza murami fabryki dokonywanem. Kobieta chcąc powiększyć dochód rodziny mogła pracować w domu, nie odrywając się od gospodarstwa i dzieci, w miarę sił i czasu, jaki mogła i chciała odjąć od zajęć domowych, zatem nie pozbawiając dzieci opieki, gospodarstwo doзору, męża dbałości swej o jego dobrobyt fizyczny i moralny“.

W drugiej ćwierci naszego wieku zaczął przemysł uczuwać skutki produkcji, rozwijającej się nadmiernie i wyprzedzającej popyt na nią. Zaczęły się zdarzać przesilenia, nagle zastój i ojciec rodziny, zmuszony do bezrobocia kilkotygodniowego, spotykał się naraz z nędzą, i miał odąd zawsze przed oczyma możliwość takiej klęski — głodu swego i rodziny. Wtedy-to najpierw kobiety rzuciły się do pracy fabrycznej. Zwiększony zarobek w czasach żądanej pracy, pomagał do przebycia przesilenia, lecz biedne nie wiedziały, że zwiększona ilość rąk, pracy tej szukających, może obniżyć jej cenę. Poczęło się wznosić coraz więcej fabryk, poczęło przybywać coraz więcej maszyn, wyrób ręczny przepadł zupełnie, a nawet w gałęziach najdelikatniejszego wyrobu, jak w koronkarstwie, zeszedł do bardzo małych rozmiarów. Przez te niższe robotnice fabryczne, z warstw ludowych, robotnice klas średnich podupadły. Haft ręczny zeszedł do zajęcia 150,000, wyrób koronek do 220,000 kobiet w całej Francji, a mimo to i ceny pracy ręcznej spadły niezmiernie, bo mnóstwo, mnóstwo nieprzeliczone pragnęło jej. W Wogezach zarobek w tych gałęziach nie przynosi najlepszej robotnicy więcej nad 1 franka i 10 cent. dziennie, a dla dziewcząt młodych — około lat piętnastu, — odrabiających wzory łatwiejsze, schodzi do 50, 55 centymów — bez życia, bez pomieszkania.

Wyrób koronek w sławnej z tego miejscowości, w Valenciennes, zniknął zupełnie. W Alençon, w Chantilly, w Bayeux, zarabiają robotnice najlepsze od franka do 50 centymów dziennie.

W Paryżu praca kobieca jest również niesłychanie mało płatną, w miastach prowincjonalnych to samo. Kobieta jednak ciśnie się do niej z potrzeby i dla nędznego grosza, który tam otrzymuje, matka dzieci, żona męża, młoda córka dom rodzicielski porzuciła! Obraz niesłychanie smutny, ściskający serce...

Co nam całość książki pokaże? Może ogólny obraz będzie miał więcej pocieszających rysów.

Marya Ilnicka.

KTÓS

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Pruszczyc nas oszczędzał, milczał, pokrywał, taił — i systemu tego trzymał się tak długo, aż się wszystkie wyczerpały środki. Wcześniej ostrzeżone, powoli mogłyśmy się ratować — dziś!

Michalina spuściła głowę i zamilkła.

— Niech mi pani pozwoli — przerwał Sylwan — zaprzeczyc, żeby dziś już niepowetowane były te omyłki. Potrzeba się w tem z krwią zimną rozpatrzyć.

— Z zimną i z gorącą — odparła Misia — rozpatrywałam się w położeniu; zdaje się, że ocalić dawne nasze posiadłości jest niepodobniństwem. Zostanie się nam zawsze — jak dla mnie — bardzo dosyć, ale matce sama myśl zmiany życia, miejsca, stopy — na jakiej żyłyśmy, jest niezdolną.

— Ubolewam nad tem — odezwał się Sylwan — że ja nie dosyć mam wprawy i doświadczenia, aby skuteczną przynieść pomoc. Natomiast gotowość przynoszę do wszelkiej z mej strony posługi. Niech pani mną rozporządza. Mogę być posłem, pośrednikiem, tłumaczem i pójść pod rozkazy — opiekuna jakiego sobie panie wybiorą.

Jeszcze raz Michalina rękę mu podała.

— Opiekuna nie mamy jeszcze — rzekła — ale o tem dość będziemy mieli czasu rozprawiać.

Na te słowa weszła Zawierska matka, straszliwie zmieniona, blada, kaszląca, z twarzą wyszczupłą, ubrana niestaranie — witając gościa dosyć zimno, choć siliła się, aby być grzeczną.

Nie umiała teraz o niczem mówić, oprócz nieszczęścia swojego, i wkrótce wpadła na ten przedmiot — narzekając na nieboszczyka Pruszczyca, gdy córka śmiało stanęła w jego obronie.

— Pruszczyc był prawdziwym przyjacielem naszym — rzekła — najlepszym dowodem tego jest, że wszystko, co miał własnego, obrócił na nasze interessa, wiedząc, że tego nigdy nie odzyska; omylił się, biedny, przerachował, ale nam dał lat kilka życia swobodnego i spokojnego, za które wdzięczność mu winniśmy.

— Wolałabym była mniej delikatności z jego strony — odezwała się Zawierska — a więcej baczości na przyszłość naszą — niestety!...

Panna Michalina, nie dając się matce zbyt rozgadawać o tem wszystkim, usiłując i ją i gościa rozerwać, zaczęła pokazywać dom, obrazy, pamiątki; mówiła o ogrodzie, ale i ten przedmiot wywołał łzy — bo cały ten świat pamiątek potrzeba było porzucić, rozstać się z nim i zestąpić o kilka stopni niżej w ustroju towarzystwa.

Zawierska powtarzała, że tego nie przeżyje.

W domu też nie było jeszcze najmniejszego znaku zmiany położenia: stopa, ton, utrzymanie pozostały czem były.

Jedna tylko Misia cicho szeptała, że już przedsięwzięła nowicyat ubóstwa, i że bez wiedzy matki zaczęła się przyzwyczajać obchodzić bez sług, bez wielu zbytkownych wygódek.

— Sądzę — odezwała się do Horpińskiego, gdy zostali sami — że, bez wielkiej przykrości i ofiary można uproszczenie życia doprowadzić bardzo daleko.

Ze wszystkiego najprzykrzejszem mi będzie może nie mieć pracowni osobnej, oszczędzać płótno, którego ja tyle psuję — myśleć o tem, aby drogich farb na moje mazanie nie wychodziło tak wiele — ale i do tej doskonałości przyjdę z czasem, że — potrafię skąpić ultramarynu i chromów... Obrazy zyszczą na tem, bo będą mniej jaskrawe.

Śmiała się biedna.

Sylwan zaraz po obiedzie rozpoczął rozmowę poważnie, chcąc się dowiedzieć pewnych szczegółów

o interessach. Ponieważ robiono właśnie inwentarz i likwidacye i sprowadzony na ten cel urzędnik i prawnik — całą kancelaryą mieli na folwarku — Zawierska, z niesmiałością pewną, odezwała się, że możeby tam chciał zajrzeć.

Horpiński, nie zwlekając chwili, poszedł natychmiast.

Nic na świecie wstrętniejszego niema i smutniejszego nad widok przygotowań do pogrzebu i do ruiny. W obu przypadkach ludzie, co usłużyć mają, z pewną satysfakcją korzystają z tego, iż się im upiekła gratka. Zwykle ubodzy, łaknący, nie bez jakiejś radości patrzą na to, co lepiej od nich wyposażonych dotyka. W tym momencie oni są górą — są potrzebni i ci, którym się kłaniają, od nich zależą.

Przykry obrazek w oficynie stanął przed oczyma wchodzącego tu Horpińskiego. Prawnik i urzędnik, zrana nieco papierów przetrząsnawszy, po obiedzie potrzebowali wypoczynku i czekali na jakieś informacje, przy butelce wina, (którego sobie obficie dostarczać kazali), grając w karty.

Pan Radca Dworu Barański i Mecenasa Pawłomorski — ludzie obaj średniego wieku — jak znaczniejsza część dorobkiewiczów, którym los odmówił wszystkiego zamłodu — lubili teraz zażywać pomyślniejszej doli.

Radzca był wzrostu więcej niż średniego, silny, rumiany, i żeby mógł być pięknym mężczyzną dla panien miejskich, brakło mu tylko kawałka jednej nogi. Nakuliwał trochę, porównyując siebie z tego powodu do Bvrona, bo zresztą nic z nim wspólnego nie miał.

Właściwie do pięćdziesięciu lat, choć myśmy go dorobkiewiczem nazwali, nie dorobił się nic — bo niepomernie używał i miał do kart namiętność.

Człowiek był zresztą dobry, dosyć roztropny — wykształcenia miał niewiele, więcej nieco doświadczenia, a sztukę życia opierał na tem, aby nie narażając się zbyt nikomu, wyzyskać każdą sposobność dla siebie. W przystępie jakiejś namiętej fantazyi ożenił się, na co teraz narzekał, ale żona stokroć nad niego więcej miała do tego prawa.

Z powodu nieporozumień z nią Barański szczęśliwym był, gdy mógł się wyrwać z domu i jak najdłużej niepowracać do niego.

W towarzystwie zresztą wesół był i innych starał się utrzymać przy dobrym humorze.

Pawłomorski, prawnik — mecenas postaremu, doradzca, pełnomocnik, był małą figurką, już siwiejącą, z długą twarzą, w której wielkie siwe oczy, jakby sownie, najwidoczniejszemi były. Włos krótko ucięty jeżył mu się na głowie spiczastej. Nerwowy ruch jednej części twarzy patrzącemu nań czynił go nieznośnym.

Skrity, ostrożny, przebiegły, ale niepewny siebie, wahający się, Pawłomorski niezmiernie dbał o swą sławę — i drażliwy był na wszystko co jego znaczeniu i powadze uwłaczać mogło.

Obaj ci panowie ani słyszeli o Horpińskim, ani znali stosunek, jaki go łączył z temi paniami; zrana powiedziano im, że przybył ktoś z przyjaciół: mieli się więc zawczasu na baczności.

Poważnie i chłodno zaprezentował się im Horpiński, jako wysłany przez p. Zawierską do rozpatrzenia się w stanie jej interessów.

Barański i Pawłomorski spojrzeli na siebie, porozumiewając się. Radzca nie czuł się wcale obowiązany do dawania informacji, ale, na bok się nieco usunawszy — pozostał. Mecenasa kilka razy poprawił kołnierzyka, mrugnął półtwarzą — podjął ze stołu i rzucił niecierpliwie plik papierów, ramionami ścisnął, począł powoli lament.

— Nie łatwo to, panie dobrodzieju — rzekł — po długim bezładzie jaśniej się rozpatrzyć w stanie tak skomplikowanych interessów. My tu już z p. radczą pracujemy w pocie czoła od kilku tygodni — a jeszcześmy nie dokopali się do gruntu.

— Interessa są w tak złym stanie? — zapytał Horpiński.

Niema się co łudzić — rzekł z boku radzca, wyrokująco — zaplątane okropnie!

— Gdyby tylko zaplątane były — odezwał się Horpiński — możeby się dały rozwikłać.

Pawłomorski głową potrząsnął.

Zamilkli trochę.

— Przybliżenie, szanowny panie — rzekł Sylwan wyczekawszy nieco, czy się kto nie odezwie. — oprócz bankowego długu, ile jest pilnych wierzytelności?

Radzca i mecenasa spojrzeli na siebie i obaj pokręcili głowami. Pawłomorski poszedł po plik papierów, począł go przerzucać prędko i zżymać się, powiódł palcem po kolumnach cyfr kilka razy, westchnął — i rzekł w końcu:

— Trudno to jeszcze powiedzieć!

— Jednakże — przybliżenie? — napierał Horpiński, który dobył cygar i dwa najlepsze zaofiarował radcy i mecenasowi.

Barański wstał — kulejąc na nogę, poszedł parę kroków, szepnął coś w ucho mecenasowi; zaczęli mówić pocichu.

Horpiński rzekł niecierpliwie:

— Jakiej-by potrzeba summy — dodał po długim przestanku, — aby tymczasowo majątek od sprzedaży przymusowej uratować.

Mecenasa nadzwyczaj groźnie głową począł potrząsać i palcami w powietrzu przebierać.

— Gdy powiem sześćdziesiąt tysięcy rubli — nie przesadzę — odezwał się — ale i z temi nawet...

Przerwał sobie, nie kończąc, a Barański potwierdził.

— Tego mało! Pruszczyć, myśmy go znali dobrze — począł mówić — był osobliwy człowiek: nikogo nie słuchał, nie radził się nikogo, wszystko robił swoją głową, a co dalej, to głębiej brnął. Swoje stracił i panią Zawierską zgubił, a przystąpić do niego było trudno, tak szorstko przyjmował i mało drugich cenil.

Myśmy to dawno widzieli i prorokowali.

Horpiński siedział zadumany i nie zdawał się już słuchać z wielką uwagą.

— Sześćdziesiąt tysięcy rubli — odezwał się — nie jest summa tak bardzo wielką. Nie mógłbym rzucić okiem na tabelkę? — zapytał.

— Tabela jeszcze nie ułożona — żywo odezwał się mecenasa — ja mówię z pamięci.

— Gospodarstwo i inwentarze są w dobrym stanie! — wtrącił Sylwan.

Radzca obrócił się do okna, nie czując się obowiązany do odpowiedzi na to pytanie, a Pawłomorski rzekł z przekąsem:

— Wedle systemu nieboszczyka — juścić nie źle są zaopatrzone folwarki, ale to wszystko z gruntu ktoś przerabiać będzie musiał.

Naprawdę Horpiński dopraszał się, aby mógł rzucić okiem na papiery: wymawiał się mecenasa, że nie było dotąd nic, oprócz konceptów i brulionów.

— My tu, panie dobrodzieju — rzekł — mamy pracę Syzyfową z tem. — Strach! desperacya! Ledwieśmy jeden z grubego obrobili, a tu już się toczą głązy na nas, tak, że człowiek pod brzemieniem upada.

Z godzinę tak, z różnych stron zabiegając, niewiele się objaśnawszy, Horpiński musiał powrócić do pałacu, mało skorzystawszy na wycieczce do oficyny.

Zdobył tylko jedno: — nazwisko sąsiada, który był członkiem rady familijnej, p. Wojciecha Wierzbietę, niegdyś dobrze, poufale znanego Sylwanowi — z lat młodości.

Gdy ojciec Horpińskiego plan jego wychowania kreślił, wyznaczył i fundusze na podróże, które dopełnić je miały i lata, jakie na nie przeznaczal. Professor Bochenek, mający towarzyszyć Sylwanowi, gdy mu rodzice Wierzbietę zaproponowali, aby i ich syna zabrał z sobą — uczynił to zawisłem od zgodzenia się Horpińskiego. Skutkiem tego zapoznania się ci panowie, polubili bardzo. Sylwan na wspólną podróż się zgodził, a parę lat spędzonych razem zbliżyło ich i zrodziło stosunek braterski. Później dopiero okoliczności niezależne rozdzieliły obu przyjaciół. Pisywali czasem do siebie, a Wierzbietę, bywając w Warszawie, za jeździł do Horpińskiego i stawał u niego, nawet gdy go nie było.

Ten tedy przyjaciel należał do bardzo szczupłej liczby ludzi, którzy wiedzieli o pochodzeniu, znali historią Sylwana. Od lat trzech Wierzbietę, ożeniwszy się, w stolicy nie był ani razu i obaj za sobą tęsknili.

Jadąc tu, Horpiński nie wiedział spełna, że Zaborów był w niedalekiem sąsiedztwie od Ma-

kolągwy, majątku Wierzbietę. Uradowało go, gdy o tem usłyszał, bo wiele na pomoc przyjacielowi rachował.

Wojtek Wierzbietę był szlachcicem polskim do szpiku kości. Miał wszystkie wady i przymioty swego stanu; lecz wykształcenie i podróże dały mu jasny pogląd i sąd nawet na własne sprawy. Grzeszył i wysmiewał się sam z siebie, a niekiedy nawet umiał się wstrzymać od popełnienia niedorzeczności, choć pochop do niej miał wielki.

„Chłop serdeczny“, jak się dawniej wyrażano, Wojtek zawsze wesół, ochoczy, pracowity, zwłaszcza gdy to robił, co na nic się nie zdało, był ulubieńcem wszystkich, którzy go znali.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO Z MAGDEBURGA.

I.

Nowy autor-kobieta „Gyp“, — księżna czy hrabina ***? — *Autour du mariage*. — Matłżeństwo paryżkie w wielkim świecie. — Paryż i powieściopisarstwo francuzkie. — Centralizacya literacka. — Zepsucie za Drugiego Cesarstwa. — Metropole i ich ciemne strony. — Znaczenie Paryża jako miejsca rozkoszy dla całego świata. — *Le petit Bob*. — Wyrażenie *Le monde à côté*. — Bohaterka tego świata przez ścianę. — Utwory pani Gréville. — *Croquis de femmes* nowego nieznanego autora — Opowiadanie z czasów Wielkiej Rewolucyi. — Kobieta-Wandzejczk. — Utwor Głouvetta i sielski ich charakter. — *La foi du Charbonnier* i *Deux procès de femmes* z XVII wieku. — Nowość wprowadzona przez Dentu. — Przewaga.

W Paryżu, i nie tylko w Paryżu, wywarła pewne wrażenie książka, podpisana zagadkowym pseudonimem „Gyp“, a zatytułowana *Naokoło matłżeństwa* (*Autour de Mariage*); w ciągu kilku miesięcy doczekała się ta nowość aż pięćdziesięciu wydań (!). Napisana z werwą kapitałana okrętu, kłnącego ustawicznie dyabłami, mająca w sobie dużo powabu i niemająca zuchwałstwa, zacinająca częstokroć na ton naturalizmu i nie cofająca się przed tłustemi nawet słówkami — książka ta, jak sądzę, zawdzięcza wrażenie, jakie wywarła, nie swojej artystycznej wartości, ani też prawdziwości szczegółów, ile raczej pogłoskom, które narazie wywołała. Mały ten obrazek matłżeństwa paryżkiego w wielkim świecie miał być dziełem kobiety, przyczem szepłano sobie na ucho nazwisko arystokratyczne. Książka w samej rzeczy jest trochę pieprzna, trochę zuchwała, a że jeszcze wyszła z pod pióra kobiety — nic więc dziwnego, że stała się skandalem, skandal zaś wszelki, a dotego w Paryżu, jest zawsze pewnym żywiołem powodzenia. Spójrzmy tylko na te brudne zwierzenia, któremi obryzgują się Sara Bernhardt i jej współzawodniczka Colombier... Jeżeli się niema talentu, dość jest mieć tylko bezczelną śmiałość: łatwo można się wywinąć z trudności, sypiąc z pełnego gardła najbrzydlivsze brutalstwa.

Z tem wszystkiem „Gypowi“ nie brak talentu, a jeżeli pomimo to uciekł się on do skandalu, aby wejść w świat, uczynił to dlatego, że wiedział, iż skandal otwiera drogę najkrótszą i pozwala najłatwiej wyrobić sobie imię i rozgłos.

Teraz już „Gyp“, ktokolwiek nim jest, zalicza się do rzędu pisarzy będących w modzie, a chociaż nie bardzo może liczyć na przyszłość, mniejsza o nią — ma dziś dla siebie. „Powodzenie obowiązuje...“ Wydawca książki Calman Levy, nie zaniedbał przypomnieć tego księżnie *** (inni dają jej tylko tytuł hrabiny *** — i otóż po książce *Naokoło matłżeństwa* mamy już jakby wytrzęsionego z rękawa, *Matego Boba* i *Swiati przez ścianę* (*Le Monde à côté*), który tylko — co właśnie ukazał się w dwunastym wydaniu. Wspominam tylko o tem, com sam czytał; „Gyp“ bowiem wydał już prócz tych dwóch książek, jeszcze: *Czego chce kobieta* (*Ce que femme veut*) i *Cnota baronowej* (*Le vertu de la baronne*). Oto się nazywa kuć żelazo na gorąco! Nowa autorka ma istotnie wielką łatwość w pracy, a raczej w improwizowaniu; ma talent spozstrzegawczy, dość „bystry“,

a przedewszystkiem jest dość odważną, aby nie cofać się przed *prawdziwą prawdą*, której wcale w figowe liście nie stroi, nie usiłuje złagodzić całej jej brutalnej surowości. W książce *Naokoło małżeństwa* są szczegóły, którychby się nawet Zola nie wyparł—tyle w nich nagości.

Z tych trzech improwizacji, z których dwie mają formę szczegółną; dialogu, bezwątpienia najudatniejszą jest pierwsza. *Mały Bob* jest trochę rozwlekły. *Le Monde à côté* stanowi już opowiadanie ułożone według prawideł i podobny jest do tego wszystkiego, co się w tak wielkiej ilości produkuje dziś we Francji; oryginalnością tej książki są tylko pewne osobliwości w samej fakturze.

W *Naokoło małżeństwa* spotykamy typ kobiety, oczywiście Paryżanki, która była już zepsuta, zanim dojrzała. Kobieta ta, należąca do „wielkiego świata“, wyszedłszy za człowieka, którego nie kocha, wprawia się w twarde rzemiosło kobiety zameżnej. Wszystko, co ją otacza, prawie bezwyjątku, równie jak i ona sama, nie liczy się bardzo ze wstydem i zachowuje tylko pozory uczciwości. Obraz jest smutny, a chociaż chwilami do śmiechu pobudza, nie jest wcale pochlebny dla społeczeństwa i nie pozwala mu wróżyć lepszej przyszłości. Świat przedstawiony w książce „Gypa“ znany już jest dobrze z niezliczonego mnóstwa innych publikacji, które fizjognomią jego odtwarzają. Patrzyliśmy wszyscy na jego narodziły i ostatnie Cesarstwo, nazywane, dopóki istniało. Drugim Cesarstwem,—całe owo otoczenie Napoleona III-go, wyprowadziło go z piełuch, pozwoliło mu ukazać się w biały dzień, bez jednego rumieńca wstydu. Powszechnie oddają cesarzowej Eugenii sprawiedliwość, że nie dawała nigdy powodu do tego, aby ją złe języki szarpać mogły. Ona sama była i pozostała czystą wśród tego cynicznego zepsucia, ale zostawiała zawiele swobody dworowi, który ją otaczał; Napoleon zaś nie troszczył się wcale o moralność—używał i nadużywał życia. Morny i inni nie zaniebdywali go naśladować. Dość tylko odczytać złośliwe pamiętniki Wiel Castela, Listy Mérimée'go do Paniziego, a wreszcie rzeczy później ogłoszone o Drugim Cesarstwie, aby mieć pojęcie o tem złotem rozpasaniu, o zepsuciu tego dworu, który, jak każdy parweniusz, dorwawszy się do biesiady życia, rzucał się na wszystko z chciwością istoty zgłodniałej.

W książce „Gypa“, jak i w większej części tegoczesnych romansów francuzkich, przedmiotem obrazu jest towarzystwo, są obyczaje paryżkie. Paryż pochłania Francją, Francja niknie w olbrzymim jego cieniu: prawdziwie przerażająca centralizacja! Rozpaczają trzeba o przyszłości.

Niepodobna zaprzeczyć cywilizacyjnej roli wielkich ognisk życia, w których naokoło wielkich instytucji, uniwersytetów, akademii, muzeów, bibliotek, laboratoriów i fabryk grupuje się cały świat pracowników przygotowujących przyszłość; ale te metropole mają także i ciemne swe strony i stają się łatwo ogniskami zarazy. Na prowincyi snadno jest kontrolować obyczaje; przeciwnie, w tem zbiegowisku ludzkim, przybłądów ze wszystkich stron świata, jedni drugich nie znają, każdy unika znajomości, nikt się niczego nie wstydzę, gdyż każdemu wszystko może przejść nieopstrzeżenie. Prawo nie zapobiega: poprzestaje tylko na karaniu, jeżeli wyuzdanie przejdzie już w występki. Wszyscy wykolejeni na prowincyi, wszyscy ci, którym zaciasno *u siebie*—przychodzą pohulać w Paryżu. Tu przyjeżdża ze swemi milionami, wzbogacony Amerykanin; tu trzęsie się od Rossyan; Egipcyanin nawet i Turek aklimatyzują się łatwo na bruku paryżkim; każdy przynosi tu swe występkę—i szczupła tylko garstka przybywa w poważnych celach. Wysławia się potem to miejsce rozkoszy, gdzie wszystko wolno—*moyennant finances*. Dotychczas nie objawia się najlżejsza nawet reakcja przeciwko zabójczemu wpływowi stolicy, której przeciw Francja zawdzięcza pohańbienie swoje i swe klęski! Wiktor Hugo nie przestaje podawemu wynosić Paryża pod niebiosa, a romansopisarze studują wciąż stolicę ze szczególniejszym zamilowaniem.

Przepowiedzieć co będzie—niepodobna. Zwykle, gdy złe dojdzie już do najwyższego kresu,

przychodzi i reakcja; ale tu reakcyi jeszcze nie widać.

W *Małym Bobie* przedmiotem bardzo prawdziwego, ale trochę przydługiego studium, jest wychowanie dzieci i ich wczesne zepsucie. Po pierwszych już scenach poznajemy tego Boba o tyle, żebyśmy odgadnąć mogli, jak się postawi wobec nieszczęśliwego księdza domowego, mamy swojej i papy. Ostatecznie przecież mógłby być z tej gliny człowiek nienajgorszy, ale niemniej z Boba będzie tylko Paryżanin, według znanego typu—i dziś już w nim nawet typ ten kielkuje.

Ostatnim romansiem „Gypa“ jest *Le Monde à côté*. Przyznaję się, że nie rozumiem zupełnie dobrze tego wyrażenia, choć się ono samo niejako treścią powieści tłumaczy. Dumas wynalazł był „Demi-monde“; pani Gyp chce zapewne mieć zaszczyt nadania nazwy pewnemu tylko przedziałowi towarzyskiemu, który brano za jedno z właściwym *światem*.

Ten *Świat przez ścianę* nie jest, co prawda, „półświatkiem“, ale często z niego otrzymuje ochotników. Pochodzenie jego jest w każdym razie zagadkowe; pozory zbliżają go do śmietanki towarzyskiej, moralność go od niej odsuwa. Są to dorobkowiec, milionerzy i damy, które dla poprawienia sobie reputacyi, aby uchościć nanowo za kobiety bez plamy, muszą wyjeżdżać do Hiszpanii i wracać pod pożyczanymi nazwiskami. W tym romansie, zapchanym postaciami dorywczeni, zgamtanym i wogóle przeładowanym—najlepszą jest jeszcze sama bohaterka, pani hrabina de Moray, obdarzona energią niezwykłą i umiejąca się utrzymać bez zakały wpośród tego zepsucia, które ją zewsząd ogarnia. Niestety, zawdzięcza ona tę swoją tegość moralną jedynie tylko przypadkowi. Ojciec jej, umierając, nie chciał powierzyć dziecięcia matce, ale dał mu opiekuna, stary zaś profesor podjął się wychowania. Poszło ono trochę pomęzku, ale wzmocniło duszę.

Jak wszystkie prawie powieści francuzkie, tak i *Świat przez ścianę* przenosi nas w otoczenie opływające w dostatkach, pomiędzy ludzi bogatych. Pieniądz i miliony stały się dziś istotną sprężyną dla romansopisarzów. Niema książki bez milionera, bez artysty i bez tego nieładu w opisach, na który Francuzi właśnie mają doskonałe wyrażenie *bric à brac*. Czyta się to wszystko z zajęciem, ale po przeczytaniu dwóch pierwszych romansów treść już wydaje się słabą i niedość oryginalną.

Ponieważ mówimy o utworach kobiecych, powinniśmy też wspomnieć tu jeszcze o pani Henri Gréville, która nie przestaje tworzyć rzeczy prześlicznych, ale, co prawda, porzuciła już pole pierwszych swych powodzeń—Rossyą. I osobą i myślą mieszka teraz we Francji, patrzy w nią—wyrzekła się już tworzenia tych małych obrazków ze świata małoznanego, który umiała malować z takim życiem i wdziękiem artystycznym.

U Plona w Paryżu—(1884, str. 353)—wyszedł zbiór małych nowel, używających wziętości, zatytułowany: *Szkice postaci kobiecych* (Croquis de femmes). Jeśli się nie mylę, to autor przebył pierwszy ogień w *Revue Nouvelle* pani Adam; dał tam, mianowicie, wcale udatne obrazki obyczajów na prowincyi.

Tom świeżo wydany tak wygląda, jakby był pisanym jeszcze przed temi obrazkami z *N. Revue*, i nie odznacza się wcale oryginalnością. Te *Szkice* musiały być już bezwątpienia drukowane w jakimś felietonie. Najlepszy z nich przenosi nas do Wandei, w czasy pierwszej rzeczypospolitej, i prawdopodobnie autor zaczerpnął treść jego z jakiejś tradycyi miejscowej. Wdzięk temu opowiadaniu nadaje głównie malowidło miejsca—wioski Parnay w połowie wykutej w skałach, niedostępnej a nadzwyczaj uroczej (w okolicach Saumur). To Parnay jest republikańskim; zagrażają mu Wandejczycy. Trzech z pomiędzy nich, jeden ranny, zbłąkawszy się podczas walki, wpadają w sam środek wioski, w której wszystko ku nim nienawiścią pała. Dwie biedne kobieciny starają się ich ocalić. Zazdrość narzeczonego, którego ukochana zajmuje się rannym—tworzy dramatyczną sprężynę. Dla ocalenia nieszczęśliwego, kobiety przenoszą go do jaskini, nad którą

już sklepienie się zapada, grożąc zwałeniem się na głowy. Zazdrość wyszpiewował wszystko i teraz widzi narzeczoną swoją z młodym Wandejczykiem. Dość jednego pchnięcia: oboje pogrzebani w gruzach!

Okazuje się w końcu, że ofiara tej zemsty, Wandejczyk „Mały Breuil“, była kobietą—dziewczyną wiejską z Wandei.

Glouvet lubuje się w rysowaniu krajobrazów wiejskich i na bohaterów dobiera sobie chłopów. Bardzo piękną jest *Wiara węglarza*. *Dwa procesy kobiece* są tylko wyciągami ze starej, dziś już zapomnianej książki, która wprowadza nas do wieku XVII-go. *Leontyna Duval*, *Pani Raveneau* mają tę zasługę, że nie dają nam już tych wiekuiętych typów paryżkich, prawdziwie już przygnębiających. Los pierwszej wzbudza litość; zdaje się, jakby go żywcem wzięto z natury, z rzeczywistości: artysta byłby wypadkom nadał inny obrót i odpowiednio je upiększył.

Kilka nowych wydawnictw Dentu i innych nakładców wprowadza nowości. Książki te przystroili się w małe ilustracje,—które ożywiają czytanie, nie mając żadnej zresztą pretensyi artystycznej. Ale trzeba się strzedz tych wydawnictw, których rysunki mają dyabło małą wartość, a dodanie ich *gratis* ma tylko wynagrodzić czytelnika za ubóstwo treści w samych książkach.

ROMANTYZM WE FRANCJI

przez

JERZEGO BRANDESA

w streszczeniu podał

Edward Lubowski.

(Dalszy ciąg—Ob. Nr 24).

Kiedy pani Sand we wszystkiem, co pisze, pragnie pomścić jaką krzywdę albo odkryć zakrwawione lub zgorzkniałe swe serce, Mérimée nie powoduje się żadną a żadną teorią, najlżejszą choćby socjalną lub polityczną tendencją. Nie marzy o niczem, nie wierzy w nic, w żadną szkołę w sztuce, w żaden filozoficzny systemat, zaledwo w postępie w historii. Światowy jego sceptycyzm zachowuje się odpornie przeciw wszelkim reformatorom. Sand napada małżeństwo według francuzkich praw i zapytuje się drżąca: czy tak być powinno?—Mérimée pisze „la double Méprise“ i nie dodaje od siebie nic. Sand w „Mauprat“ ukazuje potęgę i szczęście wiernej miłości, w „Jean de la Roche“ progwałconą szlachetność ludzkiej natury w prostych ideałach; Mérimée nie wierzy w ideał a do sielanki nie ma talentu. Sztuce jego obcem jest wzniesienie się do bohaterstwa, do polotu serca. Sand żyje w tumulcie różnorodnych usposobień w swych dziełach—placze, wzdycha i śmieje się—Mérimée skupia swoją wrażliwość oile tylko może i nakazuje uczuciu milczenie, uczucie zaledwo tylko pośrednio ujawniają jego kreacje. Przeto zyskuje on, że fizjognomie tych kreacyi rysują się nadzwyczaj wyraźnie a mówią nader silnym językiem. Kobiecte jego postacie są w swych namiętnościach mężkie, są charakterami, i to nawet najlżejszemi między niemi (Carmen, Arsène Guillot, Julia de Chaverny); żaden nie ma kobiecej prawdziwie czułości i delikatności uczuć.

Jeżeli Beyle liryczniejszy jest od Mérimée'go i głębiej pojmuje „kobiecość“, to pochodzi ztąd, że w duszy swej jest entuzjastą o daleko bujniejszej fantazyi, aniżeli Mérimée. Porównać np. obydwóch, jako malarzy bitew: Mérimée'go słynne w kilku kartkach „Zdobycie szanca“ i niemniej słynny Beyle'a opis bitwy pod Waterloo. U Beyle'a zapał malowniczy dla Napoleona, połączonej z lekką ironią, u Mérimée'go tylko ponura smutna strona walki. Maluje on wojnę jako wojnę, bez względu na miłość ojczyzny albo jakibądź inny wyższy motyw, jedynie tylko rysuje po mistrzowsku stoicyzm żołnierza. Łączy go

tylko z Beylem uprzedzenie do przedstawicieli religii.

Głównie różnica między jednym a drugim leżała w tem tylko, że Beyle nie tyle był sceptyczny, co Mérimée; był on materyalistą ze szkoły encyklopedystów i doktrynerem. Miał swoją filozofią: epikureizm;— swoją metodę: psychologiczną analizę; swoją religią: ubóstwianie piękna w życiu i muzyce — w literaturze i rzeźbie. Mérimée zaś niema żadnej filozofii, ani religii, niczego nie uwielbia, a zapału strzeże się jak choroby. Czuje się to, czytając jego rozprawę o Grote'a: „Greckiej historii“ przy ustępie bitwy pod Termopilami. Krytyka Leonidasa jest tu charakterystyczna.

Rok 1830 jest właśnie tą epoką, w której najznakomitsi pisarze francuzcy strzegli się szowinizmu. Beyle z Mériméem reprezentowali opozycją przeciw narodowej próżności. Beyle nazywa szydlerczo Francuzów: „vainvifs,“ nazywa kraj swój: „najbrzydszym krajem na świecie, który głupcy piękną Francją zowią“. Mérimée znów, który tak się lubował w hiszpańskim obyczaju, jak Beyle we włoskim, posiadał z natury skłonność do obczyzny; i on także oceniał francuzki charakter jako oglądający się na to „co powie świat“ przez co ginie podstawa oryginalności wszelkiej i marnieje radość wszelka. Ale zato skończył na tem, że się nawrócił do patriotyzmu. Upadek Francji w r. 1870 wywołał okrzyk boleści z jego piersi. Mérimée wytykał Beyle'owi, że przez obawę ośmieszeń, popadł w affektację i obłudę, ale i on sam udawał z tejsamej przyczyny lekkomyślność i obojętność.

Obawa Mériméego przed „le qu'en dira-t-on“, doprowadziła go do takiej samokrytyki, która zaszkodziła jego produktywności, — gdy przeciwnie, Beyle'a hasłem było: „żaden dzień bez napisania czego“. Wostatku przestał zupełnie Mérimée pisać. Wymagania, jakie stawiał samemu sobie ze względu na wykończenie, odstraszały go od pisania, tak, że wołał już poprzestawać na tem, co napisał, a poprzestawał tem łatwiej, że nie czuł nigdy zbytnej potrzeby tworzenia. Beyle, zarzucając mu „próżniactwo“, zapominał — sam nie będąc artystą — że Mérimée jest nim od stóp do głów, że mistrzostwem artystycznym zdobył sobie sławę. Nie był on wreszcie próżniakiem, gdyż tłómaczył i wydawał historyczno-archeologiczne badania. Nareszcie w procesie, w jakim u Mériméego miesza się poeta z uczonym, leży głównie jego podobieństwo do Beyle'a. Mérimée nie stoi na najwyższym szczyśle nauki, posiada wprawdzie cenne zalety gruntowności, ale brak mu tej zapalnej iskry, która tak ogniście utwory jego ożywia. Pomimo to nie mówi nigdy o niczem, czego z gruntu nie zna, nie stawia nigdy luźnych hipotez ani dowcipnych paradoxów, lecz idzie krok za krokiem naprzód. Jeżeli więc w ten sposób Mérimée jest trzeźwym uczonym bez genialności, — to zato Beyle jest w nauce genialnym dyletantem... Rozprawy jego są też o tyle zajmujące w pomysłach, o ile Mériméego są nudne i suche, ale gdy rezultaty tego są budowane na skale, — jego zbyt często na piasku. Zatem i jako uczony i jako poeta, Mérimée stanowi postęp wobec Beyle'a. Jest on mniej bogatym duchem, ale z lepiej uporządkowaną treścią, a zarazem jest panem nad artystycznie wyglądną formę.

Punkt wyjścia Mériméego jako dramaturga i nowellisty jest literacko-polemiczny. Nie myśli on, tak jak Balzac, ustawiać zwierciadła przed kulturą i uczuciami swego czasu, przeciwnie: staje przekorą smakowi społecznym, chce drażnić albo oburzyć i dlatego wybiera przedmioty dalekie od pojęć nowoczesnego społeczeństwa. Naturalną było rzeczą, że przedewszystkiem niechęć jego zwróciła się przeciw literackiemu sentymentalizmowi. Z tem pojęciem, że publiczności należy dać swe pomysły, ale uczucia dla siebie zachować, stoi on samotnie w ówczesnej francuzkiej literaturze. Rousseau swemi „Confessions“ dał początek tym wynętrzanom się, Chateaubriand, Lamartine i Sainte-Beuve poszli za nim: krajali swe serce i kazali na to patrzeć gawiedzi. A dlaczego? — Dlatego, żeby zyskać jej współczucie. Mérimée jest zbyt dumny, ażeby chcieć tego. Nie chcąc okazać się sentymentalnym i elegij-

nym, chowa się cały za swe kreacje i rzadko wypowiada zdanie swoje, zdanie autora: pragnie zniknąć. Tego jednak może dokazać tylko przez to, że te postacie robi zamkniętymi, silnymi charakterami, które bez długiego gadania biorą się do czynu... Mérimée nie pisze dla filistrów, którym ładaco łyzy wyciska — ale zwraca się do silniejszych nerwów, potrzebujących silniejszych wrażeń. Dlatego żadnych przygotowań u niego i przeczuć, jak w tragediach przeznaczenia; ludzie z krwią w żyłach nie namyślają się długo. Jeżeli kobieta kocha — coż dziwnego, że drogę skraca; — jeżeli mężczyzna nienawidzi lub zazdrości, coż naturalniejszego, że jednym pchnięciem kończy męki swoje i przeciwnika? Ztąd wypływa u niego skłonność do nadania każdemu uczuciu charakteru silnej potężnej namiętności, ztąd chęć zanurzania się w straszniejszym i szorstkiem, a przedstawianiu śmierci, nie tak jak w tragedyi, ale w całym jej niemiłosierdziu, śmierci twardej i zimnej... Tem jednym słowem, objaśnić można u Mériméego okrucieństwo.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kronika działalności kobiecej.

Na tegorocznej wystawie inwentarza i złączonych z nią działów gospodarstwa i przemysłu, udział kobiet był mniejszym, niż lat poprzednich. Ubyło wystawczyń kilka, a nie przybyła żadna nowa, co byłoby rzeczą niepokojącą, gdyby oznaczać miało, że gospodarstwu kobiecemu brakuje w zakresie szerszym tego ruchu, jaki koniecznie łączyć się musi z pragnieniem postępu, z zamilowaniem pracy swojej, i z tą dumą dobrą, że się ręk leniwie nie opuszcza, że się przykładą do dobrobytu rodziny i wypełnia obowiązek obywatelski. Tego roku wystawczyń było tylko dziewięć; z nagród przyznanych im wypadło: medali srebrnych 6, brązowy 1, listów pochwalnych 4, nagród pieniężnych 4.

P. Izabela Ryxowa z Prażmowa otrzymała w dziale trzody chlewnej dwa medale srebrne: jeden za chlewnię, hodującą czystą rasę Yorkshirską, jeden za okaz pojedynczy maciorki tejże rasy. W dziale drobiu medal srebrny za wzorową i postępującą hodowlę drobiu w gatunkach wyborowych, oraz list pochwalny za młode gęsi tuluzkie. Dwie nagrody pieniężne przypadły także gospodarstwu p. Ryxowej; otrzymały je: Joanna Sokołowska, zajmująca się chlewnią, i Katarzyna Węgrzynowa, zajmująca się kurnikami prażmowskiemi — każda po rs. 30.

Hr. Katarz. Platerowa z Hruszniewa otrzymała medal srebrny za okazy trzody chlewnej także rasy Yorkshirskiej, a list pochwalny za konia wierzchowego. P. Zofia Plewakowa z Wisiek (Siedleckie) medal srebrny za ser „Gambryno“. P. Hanina Vorstädterowa z Lublina, także medal srebrny za wyroby siodlarskie. Medal brązowy otrzymała p. Felicja Pajewska z Warszawy za psa wyżła. Listy pochwalne dostały pp. hr. Jadwiga de Fleury z Kępy Giełczyńskiej (Grodzieńskie) za sery imasło świeże; p. Kiernowska z Tuchanowicz (Mińskie) za wędliny; p. Marya Reichlowa z Zamościa (Piotrkowskie) za gęsi łabędziowe, duże i śnieżnie, bogato upierzone. Dwie nagrody pieniężne po rs. 20 otrzymały w dziale bydła za zajęcie się oborą: Balbina Skrulis od p. Michalskiego, i Teresa Stopczyk, od p. Ciechanowskiego.

Należy tu dodać, że kaczki p. Izabeli Ryxowej sprzedawane były na wystawie po rs. 10 za parę; w Kijowie płacono je po 25 rs. Z chlewni swojej sprzedaje ta pani rocznie na wywóz zagraniczny 160 wieprzów młodych, od 9 do 11 miesięcy wieku mających, biorąc po 1 złotym za funt (zwierzęcia żywego). Mamy tu odpowiedź na często dające się słyszeć pytanie: czy gospodarstwo kobiece może rzeczywiście coś znaczyć w budżecie rodziny? P. Ryxowa pracuje jeszcze w zakresie gospodarstwa piórem, i pismu naszemu łaskawie korespondencyi swych użyła. *Tygodnik Powszechny*

umieścił w ostatnim numerze swoim portret tej pani w grupie sześciu popiersi szczególnie na wystawie odznaczonych panów. Podpis pod tem jest: „Nasi gospodarze“. Nazwy: „Nasza gospodyni“, używała ogólnie p. Ryxowa na wystawie. Zaszczytą to nazwa, któraby powinna, jeżeli nie zazdrość budzić, to do współubiegania się przyzywać! Szlachetna ambicya, choć sama przez się miana cnoty nie nosi, to niewątpliwie drogę do cnoty otwiera.

— Poglądowa mapa Królestwa Polskiego p. Jadwigi Wojcieckiej, umieszczona w kolekcji map, które od d. 20 bieżącego miesiąca publiczność oglądać mogła w sali wód mineralnych Ogrodu Saskiego, była także wystawioną na Placu Ujazdowskim, w dziale inżynierii i budownictwa, budząc wielkie zajęcie. Zaraz na miejscu złożono na nią przeszło 1,000 rs. przedpłaty, gdyż wydana zostanie nakładem redakcyi czasopisma: *Inżynieria i budownictwo*; przedpłata wynosi rs. 10, może być wnoszona w dwóch ratach. P. Wojciecka opracowała podobną mapę poglądową Europy, która, jak czytelnicy nasi pamiętają zapewne, została wyróżniona i wynagrodzona na pedagogicznych wystawach zagranicznych. Adres redakcyi *Inżynierii i budownictwa*: Warecka Nr. 2.

— W roku bieżącym przypada z legatu ś. p. Tekli Świergockiej, do rozdziału między sześć wdów, lub sierot nieletnich: 458 rs. Rozdawnictwem tych wsparć rozporządza Warszawska Rada Miejska Dobroczynności Publicznej.

— Opiekunki *Schronienia nieuleczalnych* (Ul. Nowomiejska Nr 12) proszą panie nasze o wszelkiego rodzaju skrawki i kawałki jedwabne, wełniane, bawełniane lub płócienne. Zużytkowane one będą w zakładzie na skubankę, lub tympodobną pracę i pożytek. Ofiary przyjmuje p. Alexandra Borkowska, Redaktorka *Kroniki rodzinnej* (Ulica Mazowiecka Nr 8).

— Towarzystwo Pań Ś-go Wincentego à Paulo, odzywa się z prośbą do osób zamożnych, na wsi zamieszkałych, o dobroczynne przyjęcie pojedynczo lub po parę osób, na kilka tygodni letnich tych ubogich rekonwalesentów, zostających pod opieką Towarzystwa, którym lekarze dla powrotu do sił przepisują pobyt na świeżem powietrzu. Kto zna, co to są warszawskie pomieszkania ubogiego: przeludnione, duszne, nierzadko wilgotne sutereny, ten znaczenie tego dobrego uczynku zrozumie i dobre serce pań naszych odezwać się tu powinno: zabić uczuciem miłosiernej litości. Ktoby zechciał tej pocziwej ofiary dokonać, niech zawiadomi listownie Zarząd Towarzystwa, podając dokładnie nazwę miejscowości, oraz wskazując drogę. Adres jest: „Zarząd Towarzystwa Pań Ś-go Wincentego à Paulo, Ulica Ordynacka Nr 3.

— Panna Józefa Zdżarska, zasłużona na polu pedagogii i znana w tym kierunku pracy szerszemu kołu publiczności, miała w dwóch przeszłych miesiącach pięciokrotnie odczyt „O Narcyzie Żmichowskiej“, powtarzany w Łodzi, Piotrkowie, Częstochowie, Dąbrowie Górniczej i Włocławku. Wszędzie zgromadziła się stosunkowo liczna publiczność, z wyjątkiem Łodzi. Przyczyną tej wyjątkowości jest zapewne mieszana ludność tego miasta. Główna waga odczytu przypadła na moralne stanowisko Żmichowskiej. Szlachetne, wielkie myśli — szlachetne, wielkie ideały poetki przypominać, jest zasługą, która się niewątpliwie p. Zdżarskiej należy, temwięcej, że miała do zwalczania wiele trudności.

— Najbardziej zaznaczające się i przez paryżkie *Revue des deux mondes* wyróżnione prace kobiece na dorocznej Paryżkiej Wystawie Sztuki (Salon), są: portret Lesspes'a, Ludwika Abbé'a, i Fanny Fleury portret, czy obraz, przedstawiający młodą matkę w niebieskiej aksamitnej sukni, z uspijonem dziecięciem u łona. Jasna główeczka dziecka, spoczywa na piersi matki, a nagie nóżki osuwają się jej z kolan. Księżna de Palmella wystawiła w bronzie odlane, a umiejętnie i z siłą wyrzeźbione popiersie Dyogenesa na słupie czworokątnym (terminus).

Inne pisma paryżkie wymieniają więcej kobiet odznaczających się w malarstwie francuzkiem. Oprócz Róży Bonheur, ozdobionej za swoje artystyczne prace francuzkim Krzyżem Legii Ho-

norowej, oraz hiszpańskim i belgijskim orderem, lecz którą choroba odsunęła już od tworzenia, stawiają obok Ludwika Abbema, która posiada szczególnie wysokie zalety kolorytu, Ludwikę Breslau, Szwedkę, należąca do realistycznej szkoły i ztąd zwaną: „portrecistką przyszłości“ Marta de Chatillon, Ewa Gonzales, Marya Muraton, Elodya La Villette, są utalentowanymi krajobrazów malarkami. To już artystki z zawodu, ale i w tych sferach zamożnych, gdzie kobieta pracuje tylko jako amatorka, jest we Francji wiele kobiecych talentów malarskich i na tegoroczną wystawę nadesłały między innymi dzieła swoje trzy córki francuskich znakomitości wojskowych: marszałka Canrobert'a, generałów: La Charette i d'Andlau. Dobrą akwarelistką jest księżna Matylda Bonaparte i baronowa Rotszyld; księżna de Luynes, prawnuczka Larocheffoucauld, uważana za wyższy talent, wystawiła utwór swój w tegorocznym Salonie pod pseudon. M-me Dalbert. Przebywa też obecnie w Paryżu kilka wyższych kobiecych talentów: młoda panna, Hiszpanka: Banuelos; żona jednego z niższych dyplomatów, baronowa Reither; i Niemka, również z wyższego świata, Ida von Rechten. Ta ma mieć talent już bardzo wysoki, charakter jej dzieł przypomina poetyczny, idealny pędzel Ary Scheffera, i dom jej w Paryżu przez nią urządzony nosi na sobie cechę szlachetnego artysty. Wystawia pod panięmskim swem nazwiskiem baronówny Weiler.

— Berlińskie *Stowarzyszenie sztukmistrzów i sztuk przyjaciółek*, odbyło w miesiącu przeszłym zgromadzenie doroczne. Stowarzyszenie liczy 330 członków, majątek jego wynosi 25,877 marek, kassa zapomóg pożyczkowych ma 7,500 marek i tu ministerium oświecenia publicznego dodaje rocznie 1,500 marek. Na wystawie tegorocznej, która—jak wiemy—liczyła 305 dzieł, sprzedano ich za sumę 17,040 marek, zakupy ze strony rządu wynosiły 8,000. Szkoła rysunkowa Towarzystwa liczyła w ostatnim półroczu 400 uczennic, z tych 12 stawiło się w Berlińskiej Akademii Sztuk do egzaminu i zdawszy go z odznaczeniem, otrzymało patent na wyższe nauczycielki rysunku.

— Doroczna uroczystość Londyńskiego Uniwersytetu; „Presentation day“—to jest dzień rozdawania dyplomów, udzielenia stopni i stypendyów,—odbyła się przy licznej jak zwykle zgromadzeniu osób, ale charakterystyką czasu było netylko to, że między gośćmi znajdowała się przeważna liczba kobiet, ale i to, że zaznaczała się obecność pań uhonorowanych naukowymi stopniami uniwersytetu, więc liczących się do jego uczestników. Tych znajdowało się trzydzieści kilka. Ponieważ Uniwersytet londyński ledwo lat kilka otworzył się kobiecie, wszystkie one były młode, między niemi niektóre bardzo piękne, a wszystkie rozumnie wyglądające, poważne, w togach czarnych z szerokimi greckimi rękawami, z kapturkami, z których niektóre były złotem, inne brunatnymi szlakami lamowane, w biretach z długimi chwastami. Zajmowały oddzielny rząd krzesel i wiele z nich, korzystając z przywileju płci swojej, zachowały birety swoje i w tych chwilach, gdy przy wręczeniu dyplomów mężczyźni z uszanowaniem poodkrywali głowy. Między otrzymującymi stopnie były cztery kobiety; przyznano im stopień magistrów umiejętności. Jedną z pomiędzy nich, Emilia Tomlisson, zupełnie młoda panna, otrzymała swój stopień z wyższem honorowem odznaczeniem, i podkanclerzy uniwersytetu, lord Jakób Paget, wręczając jej dyplom, wtrącił do zwykłej przemowy to, że obecnie grono uniwersyteckie przyzwyczało się do naukowego braterstwa z kobietą i że już nie budzi się w żadnym z jego członków obawa, aby godności naukowe nie były dość dobrze piastowane przez kobietę.

Jan Lubbock dodał do tego kilka słów podobnego uznania dla kobiety naukowej, a tworzyło to widok bardzo malowniczy, ta stosunkowo garstka młodych kobiet wśród liczego grona poważnych, wielu już siwołowych i siwobrodych mężczyzn, w podobnych im biretach i togach, które od ciemno-brunatnej szaty doktora filozofii przechodziły rozmaite stopniowanie barw, aż do szkarłatnego koloru togi i kaptura doktorów medycyny. Dr. Marya Garrett Anderson znajdowała się pomiędzy zaproszonymi gośćmi.

— Sprawa głosowania kobiet angielskich na wybory do parlamentu, upadła ostatecznie, mimo ogromnego wysiłku czynionego przez stronnictwo nieprzyjacie Gładstonowi i chcące go zwalić za pomocą głosów kobiecych, których bardzo znaczna większość byłaby zawsze po stronie zachowawczej, ta zaś znaczyłaby się dziś szerszą, szlachetniejszą więcej bohaterską polityką. Wniosek upadł większością 136 głosów (271 przeciwko 135), ale agitacja, już teraz głównie ze strony kobiet, nie ustaje, a nawet się szerszy. Miss E-dyta Simcox osobistość poważna, bo zasiadająca w londyńskiej komisji edukacyjnej, napisała w tym przedmiocie list, ogłoszony w „Timesie“. Sybille—pisze tam: były kobietami, i Angielki mogą postąpić tak jak one: po każdej przegranej postawią żądania wyższe, i już nie tylko samotne, ale wszystkie kobiety angielskie, posiadające równe mężczyznom kwalifikacje wyborcze, zapragną prawa głosu — zapragną go z pewną nadzieją utrzymania.

Obecnie jest w Anglii samodzielnie się utrzymujących niezamężnych kobiet 600,000 i te będąc uczciwymi, użytecznymi kraju swego obywatelkami, chcą w miejsce nieotrzymanych pociech życia rodzinnego, mieć prawo do zadowolenia, jakie niesie za sobą działalność społeczna i patriotyczna. Wedle przypuszczalnych obliczeń z dopuszczeniem tych kobiet do urny wyborczej liczba wyborców zwiększyłaby się w Państwie Angielskiem o 600,000 głosów — rzecz ważna; w ustroju państwa, rządzącego się parlamentarnie, potęga ogromna.

„Gazeta Warszawska“ z dnia 18 Czerwca poświęciła też tej sprawie uwagę swoją i długi artykuł wstępny, pisany w piękny i szlachetny sposób, na podstawie szlachetnego i pięknego pojęcia kobiety. Artykuł ten cytuje Milla, wielkiego rzeczniczka kobiety i jej praw, które podniosły ten umysł umiał tak pogodzić w swoim praktycznym rozumie z obowiązkami, że uczynienie im zadość, nie naruszyłoby jednak podstawowych praw społeczeństwa — praw rodziny. Piękną postać kobiecą, piękny obraz zespolenia netylko dwóch serc, ale dwóch duchów ludzkich wzbudziła „Gazeta Warszawska“ przez wspomnienie małżeńskiego stosunku Milla. Czytelnicy pisma naszego znają ten wzruszający romans, który jednak nie był fikcją, ale rzeczywistym życiem i tę dedykacją śliczną, w której Mill poświęca zmarłej żonie dzieło swoje: „On Liberty“. Pisząc to, był on już starcem siedmiesięcioletnim, a miłość do utraconej żony wzbudziła mu się w latach młodości, i to do znacznie starszej kobiety, i do kobiety, która wolna nie była. Przetrwała też—ta miłość—wielką próbę kilkunastu lat milczenia, a przez ten czas cały istniał między tym dwojgiem uczciwych, wyższych ludzi najpiękniejszy, najczystszy, najszlachetniejszy związek przyjaźni, i wdowę już niemłodą, matką netylko dorosłej, ale dojrzałej córki stanęła ta wiernie ukochana przed ołtarzem z człowiekiem, którego wyższą zacność poznać mogła przez nienaruszone nigdy dla niej uszanowanie. Przywiązanie do Milla pasierbicy, Heleny Taylor, służy tu za dowód, jak cały ten stosunek był piękny i bez skazy. Dzisiaj miss Taylor należy do naj-

czynniejszych promoterek głosowania kobiecego, a przedstawia ona taki właśnie typ kobiety, o którym Mill myślał, gdy zażądał dla niej politycznego prawa głosu: jest rozumna, energiczna i wolna w rozrządzaniu czasu swoim, bo jest samotną. Wyborcy południowych dzielnic Londynu naprzekór tym, którzy nie dopuścili kobiety do głosowania, chcą ją wybrać na członka Izby Niższej. Prawo Angielskie nie pozwala kobiecie wybierać, ale nigdzie napisanem nie zostało, aby kobieta wybraną być nie mogła. Wybór może zostać unieważnionym, ale pretydykat postawionym już zostanie, i będzie to rzeczywiście coś, jak z Księgami Sybilińskimi.

Sprostowanie.

W dodatku do Nr 25 „Bluszcza“, w artykule pod tytułem *Wystawa*, powinno być: że p. Zofia Plewakowa otrzymała także w roku zeszłym jak i bieżącym, medal srebrny za sery „Gambrino“, a nie jak błędnie wydrukowano: list pochwalny.

OGŁOSZENIE.

Po cenie niżej kosztu to jest: po kop. 30 z przesyłką kop. 35, sprzedaje się wyłącznie

dla prenumeratorek Bluszcza

wyszła z druku książka pod tytułem:

ZUPEŁNY KURS NAUKI

KROJU SUKIEŃ I OKRYĆ DAMSKICH

oraz wszelkiej **BIELIZNY**

damskiej, męskiej i dziecinnej

przez

Thirifoqu'a

przekład E. H.

Wykładany w Warszawie przez **A. KOBIERZYCKĄ** uczennicę **Tirifoqu'a**.

Wykwalifikowaną nauczycielkę kroju ubiorów damskich przez Urz. Zgr. Star. cechu krawiec. m. Warszawy.

Z 13 tablicami objaśniającymi.

Wydanie nowe poprawione i pomnożone.

Skład główny w księgarni **M. Glücksberga**,
Wydawcy **Bluszcza**.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkusz 5-ty powieści pod tytułem: **Z krwawych dni**; oraz początek powieści pod tyt.: **Sąd Boży**, arkusz 3-ci.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ. Pogawędka. — Kolonie letnie, (poezya), przez Maryą Ilnicką. — Kwestya kobieca w Europie, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z Magdeburga I, J. I. Kraszewskiego. — Romantyzm we Francji, (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — **Kronika działalności kobiecej.**

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Юня 1884 года.